Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 148 (Rok X, Nr 5) 1 marca 1950 Cena (Price) 1/6

TO JUŻ ATAK GENERALNY

Akcja przeciw Kościołowi w Polsce odsłoniła się w ostatnich tygodniach w całej pełni. Cztery kierunki prześladowania zarysowały się równocześnie.

Jednym jest opanowanie metodami policyjnymi Caritasu. Nie chodzi tu komunistom tylko o odebranie Kościołowi wielkiej organizacji charytatywnej, pomagającej setkom tysięcy ludzi i prowadzącej dziesiątki zakładów, ale o zrobienie z Caritasu własnej organizacji, konkurencyjnej wobec Kościoła a będącej ośrodkiem zbierającym odstępców. Reakcja Kościoła na ten zamach nastąpiła szybko. Episkopat wydał list pasterski potępiający księży kapitulantów i zapowiadający zamknięcie Caritasu. Listu tego policja zakazała odczytywać z ambon. Prymas Wyszyński sam odczytywał go w paru kościołach warszawskich.Okazuje się również, że nie część, jak pierwotnie przypuszczano ale ogromna większość nazwisk księży, rzekomo solidaryzujących się z rządem komunistycznym, została użyta bez ich wiedzy i wbrew ich woli. Na list pasterski i akcje episkopatu komuna odpowiedziała represjami. Nie wiemy ilu księży aresztowano, wiadomo natomiast, że aresztowany został biskup chełmiński, ks. Kowalski i grozi mu proces o przestępstwo przeciwko wolności religijnej z tego powodu, że zawiesił w funkcjach księży, którzy weszli do przymusowych zarządów Caritasu. Wzmogła się także propaganda antykościelna obliczona na iście sowiecki poziom odbiorców, głosząca m. inn., że prymas ukradł kilkaset kilo suszonych owoców.

Równocześnie z likwidacją Caritasu przystąpiono do likwidacji Sodalicji Mariańskich. Za odmowę likwidacji Sodalicji zostali aresztowani prowincjał Marianów ks. Nawrocki, moderator Sodalicji w Łodzi O. Rostworowski i szereg innych duchownych.

Trzecim kierunkiem ataku jest likwidowanie zakonów wychowawczych. Przygrywką do tego był, jak się okazuje, proces OO. Bonifratrów śląskich.

Czwarty kierunek wymierzony jest w Katolicki Uniwersytet Lubelski. Zaczęło się od zakazu zbiórek publicznych na rzecz Uniwersytetu, następnie przyszły awantury młodzieży komunistycznej z założonego dla konkurencji w Lublinie Uniwersytetu im. Skłodowskiej-Curie. Obecnie bez osłonek przygotowuje się likwidację uczelni katolickiej.

Prześladowanie Kościoła w Polsce ze stadium szykan i indywidualnych aktów terroru przeszło w tym roku w stadium prześladowania generalnego, całej hierarchii. Instytucje charytatywne, wychowawcze są niszczone. Oporni duchowni, aż do biskupów włącznie, są aresztowani. Zamyka się nawet koła życia wewnętrznego jakimi są sodalicje mariańskie. Wreszcie groźbą, przekupstwem i terrorem zmusza się księży do opowiadania się przeciw episkopatowi.

Zachód szczególnie niechętnie przyjmuje wszelkie wiadomości o prześladowaniach w Polsce, bo powiększają one jego „uneasy feeling" w sprawie polskiej. Tymbardziej naszym obowiązkiem jest pchać im te fakty przed oczy i zmuszać ich do dowiadywania się o tym, nawet jeśli słuchają niechętnie.

PO WYBORACH W ANGLII

Wybory w Wielkiej Brytanii były zjawiskiem ważnym nietylko dla mieszkańców Zjednoczonego Królestwa, a wśród nich dla półtorasta tysiąca polskich uchodźców. Mały one znaczenie i międzynarodowe. Nie jest bowiem rzeczą obojętną dla świata, jak rządzone będzie jedno z największych państw. Mówi się wprawdzie dzisiaj, że mocarstw pozostało tylko dwa: Stany Zjednoczone i Sowiety, i mówi się tak nie bez racji. Jednak Stany Zjednoczone w swej polityce są w dużej mierze uzależnione od brytyjskiego „second brilliant" a wpływ intelektualny i polityczny Brytyjczyków na ich anglosaską siostrzycę jest wcale znaczny.

Wybory, jak zawsze w Anglii, odbywały się pod hasłem problemów wewnętrznych a nie polityki zagranicznej. Program Labour Party da się zamknąć w haśle kontynuowania rozpoczętych w ubiegłym pięcioleciu reform, a konkretnie w upaństwowieniu przemysłu stalowego, cementowego, cukru, importu mięsa i „uwzajemnieniu" ubezpieczeń prywatnych. Konserwatyści nie głosili haseł odrobienia reform już dokonanych, zapowiadali wstrzymanie dalszych.

Wbrew tradycji, w ostatniej niemal chwili Churchill usiłował zwrócić walkę wyborczą w kierunku polityki zagranicznej. Ponieważ szeptana propaganda labourzystów głosiła, że rząd konserwatywny oznacza wojnę z Sowietami, Churchill rzucił hasło rozmowy ze Stalinem i dał do zrozumienia, że on jeden potrafi w świecie zachodnim dogadać się z czerwonym dyktatorem. Tu konserwatystom w sukurs pospieszyli Amerykanie, zwłaszcza Republikanie amerykańscy, podnosząc wielki szum dokoła oświadczenia Churchilla i podejmując jego plan rozmowy ze Stalinem. Sam przecież Stalin postanowił nie pomagać konserwatystom i, po kilkudniowym milczeniu, radio moskiewskie obrzuciło Churchilla zwykłym stekiem wyzwisk, w przeddzień wyborów.

Co uderza w wynikach wyborów brytyjskich, to zdrowa dążność do utrzymania systemu dwupartyjnego. Liberałowie, wyszli z wyborów zdruzgotani. Komuniści ponieśli klęskę nietylko jako partia oficjalna: komunistyczni „Fellow — travellers" z Platts Millsem na czele przepadli również co do jednego. Natomiast po raz pierwszy wchodzi do Westminsteru dwóch irlandzkich nacjonalistów z Północnej (brytyjskiej) Irlandii.

Większość dwóch głosów w Izbie Gmin zdobyta przez Labour Party nie wystarcza dla stworzenia rządu, gdyż wymagałaby obecności wszystkich członków rządu (a jest ich kilkudziesięciu) na każdym posiedzeniu Izby, inaczej opozycja mogłaby obalić każdy wniosek. W chwili gdy to piszemy przewiduje się konieczność nowych wyborów w tym roku.

UAKTYWNIENIE POLITYKI POLSKIEJ

Zainteresowanie, jakim polska opinia publiczna obdarza działalność Rady Politycznej i związane z tym nadzieje, iż potrafi ona prędzej czy później przełamać i usunąć sztuczne i personalne przeszkody napotykane dotąd na drodze do zbudowania jednego ośrodka polityki polskiej zagranicą, świadczą, że w naszym wewnętrznym życiu przeważa zdrowy instynkt narodowy. Masy polskie na emigracji chcą wiedzieć, że istnieje na uchodźtwie kierowniczy ośrodek polski, zdolny do wykonania zadań, jakie spadają na ogół Polaków żyjących w wolnym świecie. Chcą one przede wszystkim wiedzieć, że istnieje ośrodek zgodnego i skutecznego działania na gruncie międzynarodowym.

Powołanie w kwietniu ubiegłego roku tzw. rządu urzędniczego z p. Tomaszewskim na czele, bez oparcia o znane ruchy polityczne, odzwierciadlające wolę kraju, oznaczało praktycznie zawieszenie wszelkiego działania na gruncie międzynarodowym. Któż bowiem zechciałby zagranicą rozmawiać z jednostkami, o których wiadomo, iż reprezentują wyłącznie własne osoby, bądź małe grupki bez wpływu w społeczeństwie polskim?

Zresztą ośrodek rządowy — czy to Eaton Place, czy Cornwall Gardens — całą swoją energię kładł i po dzień dzisiejszy kładzie w małe intrygi mające na celu podtrzymywanie rozbicia wewnętrznego. Starczy wziąć do ręki jedyny biuletyn tego ośrodka „Głos Wolny" (firmowany przez grupę o dziwacznej nazwie („Gromada Maghull"), w którym od pierwszej do ostatniej strony pisze się o sporach wewnętrznych i prowadzi się zażartą kampanię przeciwko stronnictwom, tak jakby nic się nie zmieniło od roku 1939. Byłoby rzeczą ciekawą wiedzieć, czy pieniądze ze Skarbu Narodowego mają także pójść na podtrzymanie tego rodzaju wydawnictw, które nie przynoszą żadnego pożytku sprawie polskiej ale raczej jej szkodzą?

Powstanie Rady Politycznej, niezależnie od swego znaczenia wewnętrzno-politycznego, otwiera możliwości szerszego działania na terenie międzynarodowym. Powołanie przedstawicielstwa w Ameryce, gdzie od szeregu lat brak było uzgodnionego działania polskiego, jest pierwszym krokiem w kierunku uaktywnienia polityki polskiej. Również w najbliższym czasie spodziewać się należy utworzenia grupy polskiej w European Movement, a w związku z tym wejścia Polaków do zarządu głównego i rady tej organizacji.

WCIĄGANIE STOWARZYSZEŃ SPOŁECZNYCH

Sprawa zamierzonej zbiórki na Skarb Narodowy stała się niestety, wskutek nieodpowiedzialnego podjęcia jej przez rząd pozbawiony poparcia opinii społecznej, sprawą sporną, wewnętrzno-polityczną. Można nad tym ubolewać, ale nie można na to zamykać oczu. W tych warunkach próby wciągnięcia do roboty wykonawczej zbiórkowej stowarzyszeń społecznych są szczególnie niefortunne.

Członkowie organizacji społecznych polskich są ludzmi najrozmaitszych poglądów. Próby zaangażowania organów tych stowarzyszeń w akcji zbiórkowej wnieść muszą automatycznie sprawę Skarbu Narodowego na porządek obrad tych organizacji. W ten sposób „apartyjnicy" wprowadzają walkę partyjną do organizacji społecznych, przed którąto walką organizacje te w ostatnich latach stanowczo i naogół skutecznie się broniły.

Niezależnie od tego gdzie zapadną jakie uchwały w tej sprawie, sama dyskusja, w tak szerokich gronach z konieczności więcej namiętna niż przemyślana, skompromituje niewątpliwie całą akcję i wyrządzi szkody nietylko aktualnemu pomysłowi zbiórkowemu ale i możliwości zorganizowania Skarbu Narodowego w przyszłości

W NIEMCZECH PÓŁNOCNO-ZACHODNICH

Organ Polaków z zony brytyjskiej Niemiec, tygodnik „Polak" donosi:

W Oerlinghausen odbyło się 25. stycznia Walne Zebranie w obecności niemal całego Zarządu Oddziału SPK z jego Prezesem dr. Zawaliczem-Mowińskim oraz Prezesem Rady Oddziału płk. Konkiewiczem ze znamienną dyskusją na temat Skarbu Narodowego.

Oto niemal w przeddzień Walnego Zebrania w „Polaku" (dodatek „Wspólnymi Siłami" nr. 3/29) ogłoszona została notatka p. t.: na skarb narodowy, pierwsza wpłata ze strefy brytyjskiej". Z notatki tej wynikało, iż Zarząd Koła w Oerlinghausen, uchwalił przekazać z funduszów Koła kwotę 59 DM na rzecz organizującego się Skarbu Narodowego i wezwał inne koła do poparcia tej akcji.

Walne zebranie w długiej, rzeczowej i mającej wszelkie cechy koleżeńskiej perswazji dyskusji, podniosło bardzo słusznie, iż krok Zarządu, będący zapoczątkowaniem akcji zbiórki datków na Skarb Narodowy w strefie brytyjskiej, ma wszelkie znamiona akcji partyjno-politycznej. Prezes bowiem Koła w Oerlinghausen jest jednocześnie Prezesem Ligi Niepodległości na Niemcy. Ta partia polityczna wezwała wszystkich swoich członków do poparcia akcji tworzenia Skarbu Narodowego.

To też Walne Zebranie Koła w Oerlinghausen podkreśliło wyraźnie, że ustosunkowując się pozytywnie do samej instytucji Skarbu Narodowego, nie można SPK, jako organizacji społecznej i apolitycznej, co jest stale przez władze oddziału podkreślane, angażować do obecnie prowadzonej zbiórki na rzecz Skarbu Narodowego. Rząd bowiem obecny, inicjujący zbiórkę na Skarb Narodowy, ma charakter jednostronny i niereprezentatywny. To też kilka wybitnych osobistości, przedstawicieli tradycyjnych polskich stronnictw politycznych, na porozumieniu których opierał się w latach 1939 — 1948 rząd polski na emigracji i całe życie polityczne w ujarzmionym Kraju, odmówiło wejścia do Komisji Skarbu Narodowego.

Walne Zebranie przytłaczającą większością 4/5 zdezawuowało powyższą uchwałę Zarządu Koła, jako powziętą bez pytania, o zdanie wszystkich członków Koła i powziętą z przyczyn partyjnych.

Ponadto przy uchwalaniu nowego budżetu Koła, Walne Zebranie uchwaliło kwotę 60 DM. na Skarb Narodowy, którą Koło wpłaci dopiero wówczas, gdy instytucja Skarbu Narodowego będzie wyrazem jedności i jednomyślności całego społeczeństwa polskiego na emigracji.

OBNIŻANIE POZIOMU PRAWA

Prawo polskie na emigracji wymaga szczególnie poważnego i ostrożnego traktowania. Dekret, dla którego wykonania nie ma sądów ani policji, powinien być redagowany tak, by każde jego słowo było wykonane, by miało wagę prawa. Pobożne życzenia, zgromadzeniowe deklaracje, osłabiają w najwyższym stopniu tę wątłą a tak bezcenną roślinę, jaką jest nasze własne prawo. Nie wolno go używać do propagandy wewnętrznej ani dla ratowania pozorów. Każde słowo musi tu być zważone staranniej niż w wolnym państwie na własnej ziemi.

Pod tym względem kompromitujący wręcz jest tekst dekretu o Skarbie Narodowym. Zamiast krótko powiedzieć, że na Skarb ten składają się datki Polaków, powiedziano, że płacenie jest obowiązkiem obywatelskim i powinnością narodową. Jest to w istniejących warunkach frazes a na frazesy nie ma miejsca w prawie. Z niektórymi słowami dekret igra w sposób nieodpowiedzialny. Naprzykład dla określenia członka mianowanego przez wyższy organ (Komisję Główną) w niższym (Komisji krajowej) stale używane jest określenie członek „wybrany" (w przeciwstawieniu do kooptowanego). Autorom szło zapewne o wywołanie wrażenia „demokratyczności" całej instytucji, w rzeczywistości od góry do dołu pochodzącej z nominacji bezpośredniej lub pośredniej. Ale w prawie takiej propagandy uprawiać nie wolno. Ogólnikowość niektórych określeń jest wręcz niebezpieczna. Tak naprzykład powiedziano, że Skarb może dokonywać operacji kredytowych, między innymi wypuszczania bonów skarbowych. Co to są te inne, poza bonami, operacje kredytowe? Jeśli się nie chce powiedzieć ściśle i konkretnie, jakie są uprawnienia finansowe zarządu funduszu państwowego, to lepiej nie umieszczać tego w prawie w ogóle.

Tu już nie idzie o polityczny sens dekretu ale o obniżanie tej wielkiej wartości, jaką jest nasze prawo, gwałcone i bezczeszczone w Kraju, a przechowywane tu przez nas.

MNIEJ WYOBRAŹNI

P. Mackiewicz, koryfeusz propagandy p. Tomaszewskiego, zżymając się w swym piśmie na uchwałę Rady Politycznej, uznającą zbieranie składek na Skarb Narodowy przed przywróceniem naruszonego porządku

prawno-konstytucyjnego i politycznego i osiągnięciem jedności narodowej za przedwczesne, pisze:

„Wyobraźmy sobie, że czytamy historię Polski z czasów sienkiewiczowskiego „Potopu" i dowiadujemy się z niej, że za czasów, gdy Jan Kazimierz uciekł na Śląsk Cieszyński przed Szwedami, którzy zajęli kraj, jacyś polscy magnaci, którzy uciekli razem z nim, utrudniali mu zebranie pieniędzy na odzyskanie wolności kraju. Czyż nie obudzi się w każdym z nas uczucie oburzenia na takich magnatów, czyż każdy z nas nie powie, że jaki ten Jan Kazimierz był taki był, ale uniemożliwienie mu w takiej chwili zbierania pieniędzy było zbrodnią wobec państwa i narodu".

Wyobraźnia p. Mackiewicza ponosi go ku nadużywaniu igraszek historycznych. Podobnie łatwym nadużyciem byłoby, gdyby mu ktoś odpowiedział, że przeciwnikami króla Jana Kazimierza byli wówczas poplecznicy Karola Augustawa, który zagarnął władzę z pominięciem prawa i któremu zwolennicy prawa odmawiali poparcia i danin.

W rozigraniu wyobraźni zawodzi nawet usłużne lecz bodaj nieco nieuprzejme ujęcie porównania z Janem Kazimierzem... jaki tam był.

B(ez) W(yobraźni)

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

KULTURA I POLITYKA

Jeżeli trzeba było jeszcze dowodu na to, że dwa powyższe pojęcia są właściwie nierozerwalne, można go było znaleźć i jak na dłoni zobaczyć na Konferencji Kultury Europejskiej, która odbyła się w grudniu ubiegłego roku w Lozannie. Konferencja ta zwołana tam została przez tzw. Ruch Europejski (European Movement) i już to samo świadczyło o jej mocnym politycznym podłożu. Konferencja została obesłana przez dwadzieścia parę narodów europejskich, wśród których znalazło się miejsce i dla sześciu narodów spoza żelaznej kurtyny, reprezentowanych przez swe emigracje. [1]

Celem konferencji było zaafirmowanie i jedności i odrębności kultury europejskiej, wobec coraz jawniej i coraz zachłanniej rosnących wpływów potęg pozaeuropejskich. Zebrali się tam uczeni, profesorowie, literaci i artyści. Radzi by oni wszyscy byli mówić o rzeczach wiecznych, o wartościach kulturalnych, o etyce humanistycznej. Okazało się szybko, że trzeba było z obłoków zejść na ziemię, — a to dla tego dobrego powodu, że obłoki okazały się chmurami, i to groźnie naładowanymi właśnie polityką....

Rzecz stała się oczywisto od razu pierwszego dnia. Wyszło wtedy na jaw, że nie da się usunąć poza próg świadomości konferencji mającej na celu zadokumentowanie jedności kulturalnej kontynentu, — całego krwawiącego człona Europy środkowej i wschodniej! Jakkolwiek znać było na każdym kroku, że organizatorzy konferencji woleliby się tą rzeczywistością nie parać, jako zbyt polityczną, wracała ona drzwiami i oknami, nie dając o sobie zapomnieć. Marzyło się poniektórym mówcom, że możnaby się tymczasem ograniczyć do zachodniego skrawka Europy: marzenie to waliło się jednak co trochę.

Dla uważnego obserwatora, dnie lozańskie przedstawiały bogate pole obserwacyjne. Temperamenty i zamiary polityczne szeregu narodów europejskich przejawiały się tam mimowolnie i mimowiednie. Zaś problematu Europy środkowej i wschodniej można tu było użyć nieledwo jako odczynnika.

[1] Reprezentacja polska składała się z pp. S. Herlinga-Grudzińskiego, J. Stępowskiego i Wł. Folkierskiego.

1.

Jako dwa spostrzeżenia najogólniejsze z tego miniaturowego sejmiku europejskiego wysuwam na czoło fakt odrębności brytyjskiej i sprawę wydobywania się Niemiec z pod gruzów klęski ponownie na miejsce centralne w uwadze kontynentalnej. Te dwa zjawiska nie są może tak od siebie dalekie, jakby się to pozornie zdawało.

Delegacja brytyjska górowała nad innymi i liczbą i, w pewnej mierze, starannością doboru. Ze strony brytyjskiej uczyniony został niewątpliwie duży wysiłek dla dobrego obesłania konferencji. Mimo to miało się wyraźne wrażenie pewnej bezradności Brytyjczyków w zetknięciu z problematyką kontynentalną. Nie można było nie zauważyć, że to co przejmowało ludzi z kontynentu nie bardzo interesowało Anglików, a przynajmniej nie było przez nich uważane za dostatecznie poważne. Z drugiej strony pewna **efficiency** i **matter of fact** Anglików niecierpliwiła Europejczyków kontynentalnych: myślę tu o gilotynie stosowanej np. przez p. Kenneth Linsday, M.P., jako przewodniczącego jednej z komisyj. Jakoż się tak tam zdarzyło, że ile razy groziła dyskusja problemowa, a więc przydługa, zjawiała się właśnie owa wypróbowana w Izbie Gmin gilotyna... Przy tych zwłaszcza okazjach ujawniał się kontrast brytyjskiego i francuskiego stylu. Na sali, zwykle w ostatnim rzędzie, siedział Etienne Gilson, profesor College de France, jeden z wielkich Europejczyków współczesnej doby. Znakomity tomista, ani na chwilę Gilson nie uważa, by głębokie problematy ideologiczne czy filozoficzne nie były aktualne dla współczesnej Europy. Takiemu umysłowi gilotyna nie smakuje w dyskusji. Stąd stała szermierka z przewodniczącym. Pod koniec dochodziło do tego, że właściwie dyskusją kierował ze swego miejsca Gilson...

Na jednym z posiedzeń zdarzyła się rzecz i zabawna i znamienna. Role były zmienione: przewodniczył Gilson. Była na porządku dziennym wielka mozaika tematów: wartości humanistyczne, zagrożona Europa, krępowanie ruchu książki. Na domiar złego zapisany do głosu był i Bułgar, b. minister Bałabanow, który mówił o nieszczęściach Bułgarii. Po jego przemówieniu zgłosił się do głosu Kenneth Lindsay, który postanowił zapewne odpłacić się Gilsonowi pięknym za nadobne. Zaproponował więc, by na przyszłość grupować tematy wedle jakiegoś kryterium, bo mu się już zupełnie w głowie pomieszało od tej gmatwaniny tematów, w których na humanistyce wznosi się Europa, na Europie książka, a na samej górze na dobitkę — Bułgaria. Bo to właśnie ta nieszczęsna Bułgaria była dla Lindsay'a ostatnią kroplą goryczy. Ale tu, z miejsca, zareplikował wypróbowany na scholastyce dialektyk, jakim jest Gilson: „Sugestia naszego kolegi brytyjskiego jest niezmiernie ciekawa i zasługująca na uwagę. Zastanawiam się jednakowoż, co dla słuchacza jest strawniejsze, czy sześć przemówień na sześć różnych tematów, czy sześć przemówień na jeden temat?" Kenneth Lindsay nie podtrzymywał dłużej swojego wniosku...

Miało się w Lozannie niewątpliwie wrażenie, że chwyty czy **doigte**, z jakimi Brytyjczycy przystępują do spraw europejskich, nie pasują do nich i w rzeczywistości (practically) niczego nie chwytają.

Sprawa Niemców wydobywających się z matni jest jeszcze ważniejsza. Otóż oni, wręcz przeciwnie, mieszkając w samym sercu kontynentu, i, jako dziś zachodni (dobrzy?) Niemcy przemawiając zachodnim językiem, robią wrażenie ludzi znacznie lepiej rozumiejących kontynent od wyspiarzy..

Delegacja niemiecka, wcale liczna, miała właściwie tylko jednego mówcę. Był nim Carlo Schmidt, profesor uniwersytetu, socjalista i rywal Schumachera we wpływach partyjnych, jeden z wiceprezesów Bundestagu i właściwy autor konstytucji w Bonn. Urodzony bodaj w Nizzy, z matki Włoszki czy Francuzki, mówi dobrą francuzczyzną i wyłącznie jej w Lozannie używał.

Od razu, na inauguracyjnym przemówieniu, odciął się od wszystkich niedomówień i stanął głośno i stanowczo na stanowisku Europy całej i niepodzielnej. Oczywiście Niemcy mają swoje powody do takiego stawiania sprawy. Niemniej wyszło to dobrze i niestety bardziej w tym względzie europejsko od przemówień organizatorów konferencji. Najważniejsze zdanie tego przemówienia przytaczam tu dosłownie. Operacja pełna była filozofii i symbolu, zjawiali się w niej i luzowali Prometeusz i Dante, ale równocześnie chodziło tam o realia polityczne, i mówca

wiedział do czego zdążał. Oto więc zdanie, o które nam idzie: „Europa jest jedna i niepodzielna. Fragment Europy nie stanowi Europy. Nawet jeżeli realizm polityczny zmusza nas na jakiś czas do liczenia się z faktem podzielenia Europy na dwoje żelazną kurtyną, nawet wtedy, i tym kategoryczniej, musimy odmówić uznania definitywnego Europy bez Pragi, Warszawy, Budapesztu, i Witembergii“.[1] Zaś w rozmowie z niżej podpisanym, p. Carlo Schmidt stwierdził: „Litość bierze patrzeć na tych Europejczyków, którzy nie rozumieją, że bez Pragi, Warszawy, Budapesztu — nie ma Europy“.

Jakiekolwiek by były motywy takiego powiedzenia (Witemberga okupowana przez Sowiety, rozumienie faktu, że — nie mówiąc tymczasem o Odrze! — obecność Rosji nie tylko nad Łabą, ale i nad Wełtawą, Wisłą i Dunajem, uniemożliwia jakąkolwiek Europę, i zapewne jakiekolwiek Niemcy), szkoda wielka, że słowa te nie zastały wypowiedziane ani przez Francuza, ani przez Anglika, ani przez Belga, ani nawet przez Włocha, ale właśnie przez Niemca...

Jednakowoż nie ten ustęp przemówienia Carlo Schmidta spodkał się na sali z gromkim i przeciągłym oklaskiem. Los ten pomyślny odznaczył inny passus mowy, który zajął się z ukosa ale wyraźnie sprawą winy Niemiec i ich przyszłości! Mówca tu przecież miał zadanie trudne, i jeżeli się go podejmował w ogóle, to dlatego, że, jako wytrawny i realny polityk, rozumiał dobrze, iż inną drogą zaufania Zachodu nie uzyska.

Otóż tu okazało się, że nawet dla tego Niemca i socjalisty, jak bieda to do Boga! Nie nazywając Niemiec z imienia, mówiąc tylko o narodach winnych w ogóle, przeprowadził Schmidt cichą paralelę między duszą chrześcijanina a narodem niemieckim... Tak jak chrześcijanin, mimo grzechu zachowuje niezatarte piętno chrztu, tak i naród, mimo że upadł, nie przestaje być członkiem europejskiego zespołu. Solidarność obowiązuje. „Wszyscy powinniśmy się razem rumienić za naród, który upadł poniżej tego, co wczoraj zdawało się po ludzku możliwe, — albowiem w sprawie Europy, musimy wszyscy być solidarni“. A więc my wszyscy musimy solidarnie rumienić się za hitleryzm i jego zbrodnie. Zwracało tu uwagę w tym dziwnym chrystianiźmie Carlo Schmidta, że o chrzcie była wprawdzie mowa, ale wcale nie o pokucie...

Łączyło się z tym rozumowaniem interesujące i bardzo dla Niemców znamienne stanowisko wobec przeszłości, na które chętnie się powoływali Niemcy po każdej klęsce, nie po r. 1871 zapewne, ale pierwszej wojnie światowej i teraz znowu. Stanowisko to polega na stwierdzeniu, że naród jest dlatego żywym organizmem, iż zawsze może przeszłość za siebie rzucić i dziewiczą stopą w nową przyszłość ruszyć, przeszłością zbytnio nie obciążony. Nawet skłonny był Carlo Schmidt upatrywać w tym stanowisku specjalną, odróżniającą cechę europejskiego prometeizmu. Zapewne, zapewne. Sala nie miała tu wątpliwości, i z wielką a priori gotowością oklaskiwała tego dobrego Niemca. Carlo Schmidt, wiceprezes parlamentu w Bonn, został wybrany również wiceprezesem Konferencji Lozańskiej.

[1] Witemberga leży dziś w okupacji sowieckiej.

2.

Była jeszcze i inna okazja, w której Carlo Schmidt zdołał uniknąć wielkiej pokusy i znaleźć zgrabne wyjście z trudnej sytuacji.

W położenie takie wpędzili go byli Włosi. Zdenerwowani faktem uznania dwu języków, francuskiego i angielskiego, za oficjalne języki Konferencji, zaproponowali w formie wniosku, by takie same prawa udzielić niemczyźnie i włoszczyźnie. Otóż Carlo Schmidt zabrał od razu głos w tej sprawie, rezygnując z tych praw dla języka niemieckiego, a to ze względu na zbyt świeże jeszcze komplikacje niedawnej przeszłości... Znów wielkie oklaski zebrał za to oświadczenie.

Ale wtedy nastąpiło **coup de théatre**. Oto niepoprawni Włosi zgłosili wobec tego wniosek, aby jedynym językiem oficjalnym był — język francuski. Zanosiło się na poważne **show down**. Rzeczywistość była już i tak dla Anglików nieprzyjemna. Przemówienia, z wyjątkiem Anglików, wygłaszano prawie wyłącznie po francusku. Przeważnie przytym rezygnowano z przekładu na angielski, chyba że Anglicy tego żądali. Natomiast wszystkie przemówienia angielskie musiały być tłumaczone na francuski, bo ich ogólnie na sali nie rozumiano. Drażliwości rosły, choć niewypowiadane. Na takie tło padł wniosek włoski. Przewodniczący, Hiszpan, Salvador de Madariaga, oświadczył, że, jego zdaniem, tylko język francuski jest istotnie międzynarodowy, że jednakowoż, nie sądzi, by należało cokolwiek zmienić w dotychczasowym zwyczaju używania dwu języków, francuskiego i angielskiego. Ostatecznie, wniosek włoski przepadł, niezbyt wielką większością. Z ulgą po dawnemu tracono czas na przekłady angielskie tekstów francuskich powszechnie na sali rozumianych.

3.

Osobną, ciekawą grupę stanowili w Lozannie byli członkowie czy sympatycy komunizmu, którzy przejrzeli i od swych dawnych entuzjazmów odeszli. Byli oni stanowczo bliżsi „kultury“ niż „polityki“. Taki błąd mając na swoim rachunku, błąd naiwności i braku przewidywania, trudno już uchodzić za polityka...

Przedstawicielem wcale dobrym takiego kulturalnego konwertyty w obie strony był Anglik, Stephen Spender. Znany jest skądinąd. Jest to „młody“ poeta i krytyk literacki. Syn znanego pisarza liberalnego, E. H. Spendera, należał do tego pokolenia oksfordzkiego, które między wojnami lubiło rodzicom sprawiać kłopoty swoją orientacją na lewo. Na dwa lata przed wojną, w r. 1937, wydał tom „Forward from Liberalism“, i wnet potem zapisał się do partii komunistycznej, na niedługi czas zresztą. Obecnie, tłumaczy i wyjaśnia swoją ewolucję w książce zbiorowej, co dopiero wydanej: „The God that failed. Six studies in Comunism“.

Jest dziś Stephen Spender niewątpliwe przeciwnikiem komunizmu, zdanym więc, po swych wędrówkach ideowych, na szukanie ratunku w Ruchu Europejskim. Jego lozańskie przemówienie, nacechowane szlachetnością i późną młodzieńczością, powinno było być wygłoszone wierszem. Było to oświadczenie poety. Martwiło go to, że się dzieje krzywda słowom, najdroższym dla poety wyrazom, takim jak „pokój“, albo „wolność“, albo nawet „demokracja“. Jesteśmy świadkami, mówił, „zatraty pewnych słów, które nie oznaczają już jednej i tej samej rzeczy dla wielkiej ilości ludzi, ale które zyskały jakieś propagandowe znaczenie, zależne od polityki a będące właśnie odwrotnością właściwego ich sensu.“ Tak np. wyraz „pokój“: „Piętnaście lat temu wyraz ten oznaczał sposób, w jaki możnaby wojny uniknąć, dziś oznacza on dla jednej części świata — okupację Europy, a dla drugiej — bombę atomową“.

Z tego stanu rzeczy wyciągnął nasz poeta w Lozannie wniosek logiczny: jako dla poety, wyrazy są wszakże dla niego rzeczą cenniejszą, a w każdym razie ważniejszą, niż nawet życie ludzkie: „Sugeruję abyśmy poświęcili się zbadaniu problemu, jak można uwolnić kulturę od polityki? tak, abyśmy mogli na nowo odzyskać mowę, w której by terminy oznaczały jedno i to samo na całym świecie... Jak długo znaczenia nie są stracone, świat może do nich przecież wrócić. Naszym więc świętym obowiązkiem jest nie pozwolić na to, by znaczenia wyrazów były skrzywione — chociażby nawet nasze życia miały być skrzywione.“

Jest niewątpliwie szkoda, że Stephen Spender swego orędzia nie ujął w mowę wiązaną.

W przeciwieństwie do niego, przemówienie męża czynu i agitacji wygłosił David Rousset, znany francuski organizator akcji przeciw łagrom sowieckim. Przemówienie to, które miało miejsce pod koniec konferencji, zniszczyło doszczętnie jakąkolwiek atmosferę spokojnego okcydentalizmu i bezspornie już utrwaliło w pamięci słuchaczy nieuchronną łączność między Europą i jej kulturą, a straszliwą groźbą, jaką na wschodzie Europy stanowi Moskwa ze swym reżymem łagrów i poniewierania godności człowieka. David Rousset przemawiał z furią i stylem takim, jakiego się można było nauczyć z tamtej strony barykady. Nikt na kongresie nie zebrał takiej burzy oklasków.

W przemówieniu Rousseta uderzała nuta zawiedzionej miłości. My wszyscy, mówił, po wojnie uwierzyliśmy w Rosję wypatrywaliśmy stamtąd wybawienia. Na co? po to, by jedne obozy koncetracyjne zastąpić drugimi? Nie pójdziemy dalej w tym kierunku. Dziś pragniemy spoj-

[1] U Hamish'a Hamiltona. Oto nazwiska pozostałych pięciu członków tego sympozjonu: A: Koestler, I. Silone, Richard Wright (murzyn amerykański), A. Gide, Louis Fisher. Najciekawszą bodaj jest autobiografia murzyna, Wrighta.

rzeć niebezpieczeństwu w oczy i zdać sobie sprawę z tego dokąd świat zaszedł. „Chodzi o to, by przede wszystkim się przekonać, czy po odmówieniu zgody na zjednoczoną Europę taką, jakiej chciał Hitler, stać nas na to, by oprzeć się nowemu niebezpieczeństwu: groźbie ustroju, który sankcjonuje wyzysk człowieka przez człowieka i przez państwo. Nie możemy bronić naszych wolności jedynie przez podtrzymywanie naszej cywilizacji. Musimy jeszcze z zaciętością wyjawić światu także nadużywanie człowieka, gdziekolwiek się ono zjawia, a też musimy walczyć w obronie świata takiego, gdzie człowiek zachowuje prawo powiedzenia „nie" — bez ryzyka zamknięcia w obozie koncentracyjnym".

David Rousset nie uznaje egoizmu zachodu z odwróceniem się od wschodu Europy. Odmiennie niż u Stephena Spendera, kultura nawróciła tu do polityki — dla własnej samoobrony.

4.

Były jednak w Lozannie i akcenty prawdziwego humanizmu europejskiego. Odzywała się wtedy Lozanna jako jedno z dawnych centrów umysłowości europejskiej. Niewiele było tych akcentów, ale stanowiły oazę, do której chętnie myślą powracam.

Pierwszy znalazł się na inauguracyjnym posiedzeniu, w przemówieniu Włocha, senatora hrabiego Alessandro Cassati (pleno titulo), b. ministra oświaty i prezesa Komisji Kulturalnej przy European Assemoly. Postanowił on, idąc śladem starożytnych, złożyć hołd miastu, w którym toczyły się obrady. Od XVI-go wieku Lozanna stanowiła rodzaj schronienia dla prześladowanej opodal myśli wolnościowej: Théodore de Bèze, wielki humanista w łonie Reformacji, później, w XVIII-ym wieku, Wolter i Gibbon, wreszcie, w XIX-ym wieku, Mickiewicz i Sainte-Beuve, a później znakomity ekonomista Vilfredo Pareto — oto nazwiska znakomitych Europejczyków, którzy w Lozannie znaleźli warsztat pracy i środowisko twórcze, to właśnie, czego dziś tak spragnieni są nowi wygnańcy XX-o wieku. Słuchacz polski wdzięczny był za pamięć w przemówieniu tego Włocha o „la voix puissante de Mickiewicz", który światu objawił tajemnice chrześcijańskiego mistycyzmu społecznego. Trochę tu wprawdzie w jedno ściągnięto wykłady lozańskie o literaturze łacińskiej z późniejszymi wykładami paryskimi, ale taki synkretyzm mickiewiczowski wybaczamy łatwo hrabiemu, senatorowi i ministrowi Cassati.

Drugie przemówienie, które chcemy podkreślić, zostało wygłoszone na uroczystym wieczorze w auli Uniwersytetu, w obecności całej Konferencji oraz młodzieży akademickiej występującej in full dress swoich korporacyj. Rektor Florian Cosandey, równocześnie przewodniczący Szwajcarskiej Konferencji Rektorów, przywitał zebranych z dużym poczuciem akademickiej odpowiedzialności za młodzież. Wskazał na niebezpieczeństwa dla młodego pokolenia, a więc i dla świata i cywilizacji, idące — z samychże laboratoriów i pracowni najznakomitszych uczonych. Są to niebezpieczeństwa wynikające ze zbytniej specjalizacji nauk. „Wielki rozwój nauk, ich postęp nienormalnie przyśpieszony wojnami tego wieku, konieczność pracy w ciszy laboratoriów i pracowni — to wszystko przyczyniło się do izolacji uczonych, którzy nie umieją już spostrzegać świata jakim jest i mają coraz słabsze wyobrażenie i o ewolucji i o rewolucjach przeorywujących społeczeństwa, w których pracują."

„Popatrzcie na tego człowieka, ciągnął dalej rektor Cosandey, bogatego w wiedzę, głęboko uczciwego, ale bezwiednego egoistę, patrzcie jak zdąża do swej pracy. Dom płonie na jego drodze? zaledwo to zauważa, śpieszy do swojej wieży z kości słoniowej, ku zagadnieniom, które go całkowicie pochłaniają.

„Istnieją dziś mózgi, konkludował mówca, pozornie wspaniałe, które w rzeczywistości są tylko przerażającymi i nieludzkimi maszynami do myślenia, krążącymi w pustce i niezdolnymi do przyniesienia ludzkości najmniejszego posłania piękna, pokoju, dobroci i nadziei."

Nienajmniej symptomatyczna była w Lozannie ta nuta zaniepokojenia strej Europy o współczesną naukę. Science sans conscience nie przyniesie dobra ludzkości, mówił stary Rabelais...

* * *

Nie można oprzeć się przekonaniu, że Europa jest głęboko, śmiertelnie chora.

Przypomina mi się opowieść z tragicznego na zachodzie Europy wieku XV-go, wieku Czarnej Zarazy, wojny stuletniej, a też wieku Villona i Dziewicy Orleańskiej. Wieść niosła oto, że rycerz pewien zdążając gościńcem w pełnym rynsztunku i z orszakiem, napotkał dziewicę w łachmanach, zbiedzoną, ale niezmiernej piękności. Zdziwiony zatrzymał konia i zeszedł ku niej, pytając kto by ona była? A ona na to: „Ja jestem, rycerzu, Twoją duszą, o którą nie dbasz, o której zapomniałeś i w ciężkim ubóstwie i nędzy zostawiłeś". Ulubiona to była wtedy opowieść: rękopisy przekazały nam ją z bardzo pięknymi miniaturami, zagadkową tę scenę przedstawiającymi.

Tak właśnie dzisiaj. Europa jest chora, bo zgubiła, a może tylko zagubiła, swoją duszę. Stąd straciła i swoją jedność, żyjąc już tylko skrawkiem jeno, wszystko to jedno że zachodnim, swojego organizmu.

JERZY PIETRKIEWICZ

INDEKS ŻYCIA

Chciałbym wreszcie spojrzeć spoza siebie,
przeszukać indeks życia, czytając przez ramię,
poprzez napięte ramię chwili,
która się kurczy w śmierć.

Jak na parasol na pogrzebie
kroplą by wieczność spadła na mnie.
W odprysku mógłby się przesilić
ten gniewny żal o indeks ciała,
o wypisy z poskracanej pamięci,
gdzie serce mierzy poziom krwi jak poziom rtęci
w gorączkującym termometrze.

Indeksyjnie sprawdzalne rozdziały
naszej przeszłości
spojrzenie jedno przez ramię śmierci
przestawi, albo w sens swój wetrze,
lub zamazując sens — uprości.

Nie ma odwrotu od raz zaczętego pytania,
które nam na przypływach serca głąb odsłania,
gdzie lśnią, spłaszczone pod ciśnieniem,
wróżby jak ryby przejrzyste
z centkami znaczeń krwistych.

Czy w głębi tej są wróżby, czy tylko odbicia
zwątpień niezaleczonych
na uśmiechniętej powierzchni życia:
nie wydam, nie wytłumaczę —

aż chyba — kropla po kropli —

jak na parasol na pogrzebie —

spadnie sam sens z roztapiających się sopli,
które teraz wymierzone w nas — na niebie —
grożą krwi w termometrach niezamrożonej rozpaczą.

(1948 — 1949)

IKTOR TROSCIANKO

W KRAINIE BLEFUSCU

PISANA historia Blefuscu urywa się stosunkowo dawno, bo 24 września 1701 roku, kiedy to jeden z najbardziej słynnych i doświadczonych wychodźców swojej epoki — Lemuel Gulliver, z zawodu chirurg, a następnie kapitan wielkiej żeglugi — odpłynął z portu Blefuscu, kierując się na północ i mając pomyślny wiatr z południowego wschodu.

Dzięki jego starannym zapiskom dowiedzieliśmy się wielu mądrych i pożytecznych rzeczy o życiu i zwyczajach odległych ludów. W dalszym ciągu dziejów niektóre szkoły historyczne, zajmujące się zawodowo odbrązowianiem niewygodnych dla siebie faktów, zarówno kapitana Guliwera, jak i jego zapiski zaliczyły do fantazji literata Jonatana Swifta, za pośrednictwem którego kapitan Guliwer dostarczył swe rękopisy do druku. Na szczęście istnieją na świecie również inne szkoły historyczne, tworzące i podtrzymujące wszelkie legendy (nawet z najbliższej przeszłości). Dzięki nim zapiski Guliwera nabierają w naszych oczach rumieńców prawdy, ba nawet stanowią nieraz podstawę dla całych orientacji politycznych. Szczególniej skąpe wiadomości o wyspie Blefuscu pociągają dzisiejszych wybitnych badaczy emigracji, nie mogących pogodzić się z sobą i wymieniających sporne listy w prasie na pasjonujące wszystkich zagadnienia. Więcej — niepisana, lecz ciągle żywa historia Blefuscu trwa do dnia dzisiejszego pod zmienionymi nazwami krajów i mieszkańców, stanowiąc źródło, z którego przede wszystkim pełnymi rękami czerpie życie społeczne.

Przede wszystkim trwa nadal zjawisko wychodźstwa — podróży mniej lub więcej dobrowolnych...**into several remote nations of the world.** Miliony bezimiennych Guliwerów lądują wciąż w krajach Liliputów, Brobdingnanów, na Lapucie, czy na trudnej do wymówienia wyspie mądrych koni.

Niejednokrotnie też warunki życia emigracyjnego, oraz brak odpowiednich środków transportowych zmuszają owych rozbitków do spędzania wielu lat na tej czy innej wyspie. Warunki te zmuszają nieraz do naturalizowania się i zejścia do roli szkaradnych istot Yahoo — niegdyś ludzi, emigrantów, a z biegiem czasu stworzeń pociągowych, **unskilled workers** na wyspie koni żywiących się owsianką i dyskutujących o ostatnich narodowych wyścigach.

W tym bogatym świecie różnych tematów ograniczymy się do sprawy nam wszystkim najbliższej: **historii emigracji na wyspie Blefuscu.** Wykład nasz — podobnie jak to czynią szanujący się prelegenci towarzystw historycznych dzielimy na dwie części: historyczną i propagandową. Zaczniemy od historii.

Królestwo Blefuscu jest wyspą, otoczoną z wszystkich stron morzem. Leży ona na północny wschód od słynnego kraju Liliputów, od którego oddziela ją kanał szeroki na osiemset jardów, a głęboki — zdaniem geopolityków krainy Liliputów — na 70 gramglaffów — w najszerszym miejscu.

Kraj ten posiada dawne i bogate tradycje historyczne na temat wychodźstwa, które w dalszym ciągu niniejszej pracy będziemy nazywać emigracją. Na tej to wyspie schroniła się wielka emigracja Liliputów, gdy kraj ich wstrząsnęły zamieszki wewnętrzne i rewolucje, spowodowane pamiętnym edyktem królewskim, dotyczącym sposobu jedzenia jajek. Gdy mianowicie jeden z następców tronu, jedząc śniadanie skaleczył się w palec, rozbijając jajko od jego szerszej strony — władca królestwa rządzonego naówczas absolutnie wydał dekret nakazujący wszystkim poddanym, pod groźbą surowych kar, rozbijanie jajek od strony przeciwnej. Były to czasy, w których problem ten potraktowała ludność z niesłychanym roznamiętnieniem, ponieważ jajka nie były jeszcze racjonowane, a rządy parlamentarne i związki zawodowe nie mogły zareagować kryzysem gabinetowym czy strajkami w dokach, podczas których przedmiot sporu zostałby skonsumowany w drodze naturalnego procesu gnilnego.

Nieludzkie zarządzenie króla Liliputów spowodowało aż sześć kolejnych rewolucji. te zaś z kolei dały okazję ościennemu mocarstwu — Blefuscu — do interwencji pod pozorem uwolnienia ludów tej samej rasy spod ucisku rządzącej dyktatury. **A bloody war hath been carried on between two empires for six and thirty moons with various success.**

Najbardziej niefortunnym wydarze-

PEACE, PEACE...

Sowieckie hasła propagandowe, wołające o pokój mają podwójną wymowę. Zanim rzucimy nieco światła na dwa oblicza komunistycznego „pokoju", warto przypomnieć sobie, że stawianie krótkich sugestywnych haseł jest wogóle specjalnością sowiecką. Starali się do tego poziomu dociągnąć Niemcy Hitlera i Włosi Mussoliniego, ale i jednym i drugim daleko było od osiągnięć Rosji Sowieckiej, w której totalnie ogłupiana ludność nie umie inaczej ani przemawiać ani rozumować, jak tylko przy pomocy ustawicznego cytowania haseł. Społeczeństwo polskie jeszcze w czasie pierwszej okupacji sowieckiej nasłuchało się i napatrzyło do obrzydzenia na tę metodę wbijania poglądów. Warto też przypomnieć, że są hasła na użytek wewnętrzny, do nastawiania przeciwko jakiemuś kolejnemu „wrogowi" państwa komunistycznego i są zewnętrzne, będące narzędziem organizowania zbiorowej psychozy — jeżeli to możliwe — na całym świecie, dla zrealizowania celów sowieckich. Takim hasłem w czasie ubiegłej wojny było nieustanne wołanie Sowietów o „drugi front", i to od strony zachodniej Europy, i to z wszelkimi skutkami najkosztowniejszej inwazji kontynentu. Samo postawienie takiego hasła miało za zadanie udowodnić, że znakomitą większość wkładu w wojnę z Niemcami ponosi Rosja, gdy państwa burżuazyjne stoją „z bronią u nogi". Do jakiego stopnia dochodzi metoda operowania grubym kłamstwem w rzucaniu haseł świadczy zastosowanie zarzutów stania „z bronią u nogi" polskiemu ruchowi podziemnemu, o którym możnaby było powiedzieć wszystko, tylko nie to.

Gdy dziś, wychodząc wcześnie z domu widzimy małe naklejki, przedstawiające gołąbka pokoju z napisem „Peace" na różnego rodzaju afiszach miejskich — wiemy, że to ta sama robota, to samo operowanie grubym kłamstwem. Tym jednym słowem Rosja sowiecka zdążyła już otumanić jej zachodnich partnerów na konferencjach ostatniej wojny; tym samym słowem demoralizowała masy żołnierskie wojsk brytyjskich i amerykańskich w 1945 r. Narody anglosaskie w obozie sprzymierzonych poniosły najmniejsze straty ludzkie i dały się najgłębiej rozhuśtać sowieckim hasłem „pokoju". A naprawdę hasło to oznaczało polityczną masakrę połowy Europy, groźbę komunizmu dla reszty. Na wszystko było wzruszenie ramion i słowo: peace. To samo słowo towarzyszyło zajęciu przez komunizm pómiliardowej masy chińskiej, to samo usprawiedliwia trwanie prześladowań w Europie Wschodniej a nawet dorabianie teorii o wyrzeczeniu się na trwałe związku z tymi narodami — dla samego dźwięku słowa: peace. To jedna strona medalu i jedno znaczenie hasła sowieckiego.

A drugie? Jeszcze prostsze. Nikt naprawdę na zimno i w głębi tak bardzo nie boi się wojny jak Rosja Sowiecka. Dla pokrycia tego strachu puszczono już na Europę, na świat cały nie tylko slogany „miłowania pokoju", ale też i roztoczono przed zdemoralizowanym światem apokalipsę siły sowieckiej. Wszystkie teorie „marszu do Atlantyku" w ciągu kilku dni czy tygodni — powstały na nowo w Moskwie. Ma zresztą Zachód w oczach fałszywy obraz sprawności bojowej Sowietów, gdyż myśli tylko kategoriami obrazów z czasu „spotkania nad Łabą". Gdyby zaś w tych oczach Zachodu choć na chwilę pojawiły się miesiące lata i jesieni 1941 — pierwszy rok wojny sowiecko-niemieckiej, może apokaliptyczne wizje, dyktowane strachem, straciłyby nieco na swej grozie. Żadne, dosłownie żadne wojsko tak haniebnie nie było bite przez Niemców jak wojsko sowieckie. Są opracowania, podające

niem, współczesnym już Guliwerowi, w tych zmaganiach była jego własna pomoc udzielona jednej ze stron walczących, Liliputom, za co go najpierw obdarzono najwyższymi pochwałami i orderami, a potem — zwyczajem ludów wyspiarskich — okrzyczano zdrajcą wspólnej sprawy, uciążliwym cudzoziemcem i reakcjonistą. Nieszczęsny bohater chyłkiem uciekł przez kanał, nad którym niedawno odniósł tak błyskotliwe zwycięstwo i schronił się na wyspie Blefuscu. Powitanie — również zwyczajem ludów wyspiarskich — było entuzjastyczne. Przybywał przecie nowy sojusznik. Cesarz i jego orszak zsiedli z koni, cesarzowa i damy dworu zgrabnie wyskoczyły z powozów. Uchodźca Guliwer — zwyczajem barbarzyńskich przybyszów położył się na ziemi i ucałował rączki pań, zapewniając władcę, że chce temu królestwu ofiarować **any service in my power.**

Do dalszych studiów nad ówczesnymi dziejami emigracji brakuje nam szerszych danych o warunkach codziennego życia na Blefuscu. Wydaje się jednak z pewnej lakonicznej notatki Guliwera, że nie były one zbyt różne od dzisiejszych, kapitan bowiem skarży się na **difficulties I was in for want of a house and bed, being forced to lie on the ground, wrapped up in my coverlet.**

O tym wreszcie, że emigracje wracają, którym to zagadnieniem zajmują się inni wybitni uczeni, świadczy fakt wydostania się Guliwera z Blefuscu. Był już najwyższy czas ku temu, bowiem kraj Liliputów, chcąc ostatecznie rowiązać problem uchodźców, zaproponował Blefuscu wydanie zdrajcy i reakcjonisty, zapewniając jednocześnie o humanitarnych wobec niego zamiarach ze strony odnośnych władz Liliputów. Obiecywano sprawiedliwy sąd i wyłupanie oczu szkodliwemu reakcjoniście. Możliwe, że kara śmierci nie została jeszcze w kraju Liliputów przywrócona na żądanie przywódców kulturalnych. W interesie pokoju i przyjaźni między obojga narodami, uchodźca Guliwer miał zostać odesłany ze związanymi rękami i nogami. Wprawdzie władze Blefuscu tym razem wykręciły się, przyjmując taktykę zwlekania — **wait and see** — ale Guliwer, któremu dopisało szczęście — odjechał z gościnnej wyspy, ku szczerej radości rządu i najszerszych rzesz jej obywateli. Działo się to wspomnianego 24 września 1701 roku o godzinie 6 rano.

* * *

Od tego ranka upłynęło prawie ćwierć tysiąclecia. Znów wydarzyło się nieco rewolucji i wojen o najróżniejsze sprawy — zaczynając od pamiętnych sporów, dotyczących rozbijania jajek a kończąc na współczesnych zagadnieniach rozbijania: państw, narodów, partii politycznych, głów ludzkich i wreszcie — atomu. W miarę postępów, jakie ludzkość osiągnęła na tej drodze — odbywały się przypływy i odpływy emigracji na Blefuscu.

W pewnym momencie tych procesów uciekłem i ja na tę bezpieczną wyspę i to wcale nie ostatni — o nie! Jeden z pierwszych. W ucieczce tej, zwanej również ewakuacją, miałem już szlak nieco utarty przez wyższych wojskowych i ministrów, kierujących swe pojazdy na pewien most nad rzeką w południowej części mojego kraju. Nie byłem wprawdzie ministrem ani wtedy ani później, ale oddałem wówczas wielkie usługi emigracji, kierując ruchem samochodów na drodze przed mostem. Rola ta została nawet z wdzięcznością opisana w pamiętnikach, ogłoszonych na łamach jedynego pisma, zajmującego się kulturą emigracji. Minęło znów jakieś dziesięciolecie. Siedziałem właśnie w swym pokoju (bo na szczęście nie miałem takich zmartwień jak Guliwer na temat **house and bed**), gdy usłyszałem nieśmiałe, a więc emigranckie, i to wczesno-emigranckie, pukanie do drzwi. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i niekłamanej choć starannie ukrytej radości, zobaczyłem dawnego przyjaciela — Marcina Kropkę, który nie wiem dlaczego nie zdążył jeszcze przerobić swego nazwiska i nazywał się wciąż Marcinem Kropką. Ten najnowszy Guliwer naszych czasów dostał się na naszą wyspę, nie chcąc — według popularnego wyrażenia — „dać się zarżnąć jak baran". Uciekł, jak stał — ze szczoteczką do zębów. Podczas ostatniej wojny, toczonej o rozbicie kilkunastu narodów i zakończonej pełnym sukcesem w tym kierunku, Kropka przebywał w Starym Kraju, gdzie, jak nas tu dochodziły słuchy, był nawet jakimś bohaterem patriotycznej resistancy. Świeżość jego i naiwność w krainie Blefuscu była wprost rozbrajająca. Był jak dziecko lub jak poeta. Postanowiłem wykierować go na ludzi i jako doświadczony emigrant, pomóc chłopcu w pierwszych krokach trudnego życia emigracyjnego. Od razu jednak natrafiłem na poważne przeszkody.

— E,ee... powiedz mi, bo e,ee... dawnośmy się nie widzieli — ileż to lat sobie liczysz?

— Czterdziestka stuknęła.

— O, to nie dobrze. Za młody jesteś.

— Jakto? — próbował bronić się Marcin — przecież jesteśmy w jednym wieku.

— Tak mój drogi, ale nie znasz życia. Tu, u nas dojrzewa się prędzej, życie tu daje twardą szkołę. Czterdzieści lat! Dziecko. Może jednak spróbujemy. Przy wybitnych zdolnościach możesz pójść szybko w górę. Je-

---

tempo cofania się pokonanych armii podczas kampanii wrześniowej w Polsce czy francuskiej w 1940 r. Tempo sowieckiego popłochu bije wszystkie rekordy. Oficjalna a świeża historia „wojny ojczyźnianej" w Rosji twierdzi, że to był manewr „wciągania"... Ładne wciąganie, w którym siły zbrojne Sowietów traciły milionowe armie, a czołgi niemieckie w ciągu doby robiły sto mil! Uderzenie niemieckie z rejonu Prus Wschodnich w dniu 22 czerwca 1941 r. oddało Niemcom Wilno w dniu 24 czerwca rano! Nie ma mowy, żeby to było takie zaskoczenie, jak już zdążyli bolszewicy światu wmówić. Od wczesnej wiosny 1941, a w każdym razie od początku maja bez przerwy szły na „granicę interesów" sowiecko-niemieckich transporty wojska i broni. I jedno i drugie stało się łupem Niemców w pierwszych dniach uderzenia, lub wpadło w ich ręce po zlikwidowaniu kilku kotłów. Odwrót sowiecki pozbawiony był wtedy cienia tego, co narody zachodnie nazywają „honorem wojskowym". Przez miasteczka Wileńszczyzny wlały już w pierwszym dniu wojny w kierunku wschodnim czołgi, obwieszone, jak kiść winogron, żołnierzami bez broni. Pola i lasy rozlegały się wtedy samorzutnym hasłem: „Udiraj!"

Jak doszło od tych czasów do „spotkania nad Łabą" — trzeba by było spytać wszystkich, którzy za Rosję Sowiecką wojnę wygrywali: armię, flotę i lotnictwo sprzymierzonych zachodnich, organizatorów produkcji wojennej i wlewania jej w tętnice Rosji, nieudolnych negocjantów, faktorów takich jak A. Hiss, trzeba by wreszce przypomnieć rozwój obłędnej poltyki i strategii Hitlera, który był przede wszystkim bezdennym głupcem, a dopiero potem zbrodniarzem.

Gdy zatem dzisiaj — w okresie dalszych podbojów komunistycznych i ujarzmiania połowy Europy — rozlega się coraz natrętniej hasło sowieckiego „pokoju", widać za tym wołaniem nie tylko polityczny cynizm Rosji Sowieckiej, pokrywanie gołąbkiem pokoju kolejnych podbojów komunistycznych, widać także i dziś maskowany strach ludzi z Kremla. Strach ten jest uzasadniony przyczynami, które dla polityków sowieckich nie są tajne. Rosja Sowiecka jest do dzisiaj domem niewoli, domem nędzy, w którym zawalenie się systemu będzie powitane z westchnieniem ulgi. Oczywiście system policyjny i trzydziestoletnia tresura zrobiły swoje — nie można liczyć na jakieś nawet rozpaczliwe odruchy mieszkańców Rosji. Gdyby natomiast szła na komunizm rozsądna i zdecydowana ofensywa polityczna czy wojskowa — narody Związku zapewne dalekie byłyby od heroizmu w obronie NKWD.

Nie należy z tych uwag wyciągać wniosków opacznych. byłoby nim niewątpliwie lekceważenie potencjału zbrojnego Sowietów. Od początku panowania bolszewików w Rosji przygotowanie wojenne stało tam na pierwszym miejscu zadań państwowych. Można bez przesady zaryzykować twierdzenie, że wysiłek zbrojny ZSSR po 1945 r. zastał zdwojony. Przyjmując nawet poprawkę niespotykanego nigdzie indziej bałaganu produkcyjnego, tandety i rozdętych cyfr — trzeba przyjąć, że potencjał ten jest dużo wyższy niż w 1941 r.

Na pewno środkiem na ten stan rzeczy nie będzie szerzenie psychozy lęku na Zachodzie, rozważania „linii Pirenejów" czy „linii Atlantyku", bo Zachód materialnie stać na to, żeby — w wypadku dalszego nacisku Rosji — uderzyć w sposób skuteczny. Czy wystarczy sił moralnych? Oto pytanie, na które czynniki kierownicze Zachodu muszą odpowiedzieć działaniem. W żadnym razie jednak potencjałowi siły moralnej na Zachodzie nie przysłuży się dalsza propaganda „pokoju", tak jak go rozumie komunizm.

żeli to ci się nie uda — no, możemy jeszcze zrobić z ciebie przywódcę emigracyjnej młodzieży.

Czynnikiem dodatnim był fakt, że Marcin, natychmiast po przybyciu na tę wyspę zdążył uregulować swoje stosunki z miejscowym społeczeństwem i został stosunkowo łatwo zatrudniony jako tzw. Yahoo czyli siła pociągowa. W związku z tym już w pierwszym kwadransie naszej rozmowy błysnęła mi szczęśliwa myśl, czyby Marcina nie wykorzystać w organizacji życia społecznego emigrantów na Blefuscu.

— Masz rozwiązany problem utrzymania — powinieneś pracować społecznie. Inaczej szybko się wynarodowisz — powiedziałem, wyjmując z rękawa chusteczkę do nosa, bo akurat miałem silny katar. Postanowiłem więc Marcina pouczyć od razu o tutejszej geografii społecznej, posługując się encyklopedią, kalendarzem, oraz podstawowym w geosocjologii dziełem MacRoyquera. Musiałem na wstępie zorientować się w zakresie jego możliwości:

— Powiedz mi — co ty właściwie jesteś?

Odpowiedział, że jest dyplomowanym ogrodnikiem. Z trudem musiałem ukryć swoje zadowolenie. Ogrodnik! Takich nam trzeba.

— To badzo dobrze — powiedziałem Marcinowi. Widzisz, posiadamy tu nadprodukcję uczonych, filozofów, geosocjologów i psychologów. Tymczasem konkretne, codzienne życie wymaga ludzi, że ta powiem ograniczonych — w ich zainteresowaniach. Krótko mówiąc — potrzebujemy zwykłych, szarych obywateli.

Zresztą twoje kwalifikacje będą nam niesłychanie potrzebne, gdy przejdziesz pierwszy okres przyglądania się naszemu życiu. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że najpoważniejszymi organizacjami społecznymi na Blefuscu są dwie, służące zupełnie różnym zadaniom i z dwóch koncepcji się wywodzące. Nie są to jak u was, organizacje tajne. Konspiracja wypacza ludzi. Tak jest — wypacza. Przepraszam, proszę nie przerywać — wypacza. Sam się przekonasz, że jesteś wypaczony i dopiero w atmosferze naszego, normalnego życia — odżyjesz i wrócisz do równowagi. Dwie organizacje, o których muszę ci parę słów wstępnych powiedzieć — to nasz Związek Ogrodników Działkowych oraz Zjednoczenie Psychologów R. P. Obie są ze sobą w bardzo złych termach i zwalczają się na temat zasadniczy: której z nich społeczeństwo najbardziej potrzebuje. My twierdzimy, że psychologowie w swych teoriach zanadto oderwali się od ziemi, a tamci znów o nas złośliwie twierdzą, że oderwaliśmy się od zdrowego rozsądku, który reprezentują tylko oni. Poza tym w najważniejszych sprawach jesteśmy zgodni. Trzeba ci wiedzieć, że specyficznym odłamem psychologów są psychopaci, mający swoje wpływy w okolicy Epsom oraz psychoanalitycy, uznający Freuda teorię snów, ale nieuznający jego teorii pomyłek; ci znów mają wpływy na Eaton Square. Poza tym w najważniejszych sprawach są zgodni. Z mniejszych, a badzo pożytecznych organizacji naszego życia społecznego wymienić ci muszę dwa Związki Chemików z Wyższym Wykształceniem, a mianowicie: Chemików Organicznych i Chemików Nieorganicznych. Mamy jeszcze dwa duże Związki Kolejarzy: Elektrycznych i Parowych, z których...

— Zaraz, zaraz — przerwał spocony Marcin Kropka — bo mi się to wszystko pomięsza.

— A widzisz, odparłem spokojnie. To wszystko nie takie proste, jak wam się w Starym Kraju wydawało.

— Tak, to rzeczywiście nieco inaczej wygląda... Ale — jak to jest z tym Związkiem Ogrodników?

— Związek Ogrodników Działkowych — poprawiłem.

— Właśnie. Jak to z tym Związkiem. Co uprawiacie?

— Nic nie uprawiamy— odrzekłem lekko poirytowany. Przechowujemy ideę. Jesteśmy symbolem.

— Jakto? Nie moglibyście się naprawdę wziąć do uprawy kawałków ziemi i w ten sposób poprawić byt ludzi mających na Blefuscu status Yahoo?

— A po co ? Żeby się narazić tutejszemu społeczeństwu? To się zresztą nie kalkuluje. W tym kraju nie lubią produktów cudzoziemskich, a przecież każdy płód ziemi, otrzymany z uprawy dokonywanej pod firmą cudzoziemca — będzie produktem cudzoziemskim. Wymagałoby to również licznych zabiegów i odpowiednich licencji, o które bardzo trudno. Zresztą — i to ci jeszcze raz powtarzam — nie w tym rzecz. Gdybyśmy się naprawdę zabrali do uprawy ogrodów, zobaczyłbyś coby na to powiedzieli psychologowie. A jeszcze więcej — co by zrobili! Życie społeczne, mój drogi Marcinie Kropko, nie znosi próżni. Tam gdzie nie ma jednych ram organizacyjnych, nazwy, podziału na sekcje, referaty i wydziały, gdzie nie ma dorocznych walnych zebrań, komisji rewizyjnej, sądów honorowych i komisji matki — tam natychmiast w powstałą próżnię wdziera się przeciwnik i wprowadzą inne swoje ramy organizacyjne, swoje referaty i sekcje, swoje walne zebrania, komisje rewizyjne i własne komisje matki. Takie jest prawo życia i tego nie zmienisz.

— A co bym wobec tego mógł robić dla Związku Ogrodników Działkowych — zapytał już bardzo nieśmiało Marcin Kropka.

— Co byś robił? To trudno zdefiniować od razu. Przyglądaj się na razie i ucz. Ucz się języka. To grunt.

Gdy dojdziesz do potrzebnej wprawy w jąkaniu się mówiąc tutejszym językiem — damy cię do sekcji pomidorów...

— Gdzie?

— No mówię ci przecież — do sekcji pomidorów. Potem idzie cebula, dalej w hierarchii: kartofle, ogórki, aż do Komisji Nawozów, która jest właściwym organem naczelnym.

— A co mam robić w tej sekcji pomidorów?

— Adresować koperty. Listy od dziesięciu lat są wybite na gestetnerze. Nie przerażaj się, że to praca może być nieco monotonna. Trudno — wyście tam żyli odcięci od cywilizowanego świata, nie czytaliście ani „Obserwatora" ani „Dzwonka Niedzielnego". Wchodzisz w wielki świat. Tak się zaczyna. Pamiętaj. Tu każdy krok się liczy.

Marcin zupełnie spokorniał. Milczał długą chwilę. Patrzyłem na niego i nie mogłem oprzeć się pewnemu wzruszeniu. Mój Boże! — I ja tak kiedyś zaczynałem na Blefuscu. To samo zdumienie, protest wewnętrzny, zażenowanie, a potem pokora. Tak to wszystko idzie na całym świecie.

— A jeszcze jedno — jąkał się Marcin — a co w ogóle... w sytuacji światowej... co słychać? W wielkiej polityce, z wojną... co?

— Tym się nie zajmujemy. Nie jesteśmy partyjnikami. Jesteśmy ludźmi konkretnej pracy społecznej. Mamy pewne wiadomości — oczywiście — ale to **top sekret**, rozumiesz? Bezpośrednio z najbardziej miarodajnego źródła. Co z wojną — pytasz? Jak wiesz w kraju Liliputów znaleźli sposób na rozbicie atomu, a w naszym kraju, to jest tu, na Blefuscu, wiesz co znaleźli — no? Znaleźli jednostkę mniejszą od atomu i sposób rozbicia tego mikroatomu. Rozumiesz — ci rozwalają atom, a my im mikroatom. Ale o tym ani słowa — zwłaszcza w środowisku psychologów. A w ogóle — poruszaj się trochę i to od jutra. Dam ci adres dyrektora doktora Zawiszy-Oleśnickiego z Wydziału Nawozów. Też był u was w Starym Kraju, ale się tu bardzo szybko wybił. Wysoko zaszedł. Znajdziesz Zawiszę albo na jutrzejszym uroczystym „święcie działkowców", gdzie będzie przemawiał, albo już od wczesnego rana, zaraz po dwunastej u niego w biurze, gdzie zwykle siedzi bez przerwy do pierwszej. Teraz wyjmij kalendarzyk.

— A to po co?

— Umówimy sobie następną rozmowę. Co teraz mamy? Styczeń? No to może pierwszy wtorek maja — dobrze? Do tego czasu wszystkie terminy mam zajęte. Sorry. A zatem maj, wtorek, Corner House, śniadanie, 2 p. m. Zgoda?

— Zgoda — odpowiedział Marcin i szybko się pożegnał.

Dowiedziałem się potem, że był nazajutrz na „święcie działkowców", gdzie Zawisza-Oleśnicki wygłosił wzruszające przemówienie, którego początek jest mi dobrze znany od pięciu lat: — „In dzis dej of auer celebrejszen aj wil tel ju dze szort story of dze martyrdom of maj kantry end of dze heroik lajf of majself."

Marcin Kropka, dobry, poczciwy Kropka, tak się wzruszył, że rozpłakał się i wyszedł. Zawiszę złowił dopiero następnego dnia w biurze. Jak ustaliłem później chłopak zaskoczony był od początku. Najpierw samym nazwiskiem i tytułem naukowym doktora Zawiszy-Oleśnickiego, którego w Starym Kraju znał jako Olesiaka. Biedak nie wiedział, że Oleśnicki musi się ukrywać, że sam o sobie napisał i wydrukował nekrolog, że dalej „Zawisza" jest jego starym nazwiskiem legionowym, a „doktór" pseudonimem z AK. Tak jak przewidywałem i jak zresztą zdążyłem poradzić Zawiszy — zaproponował on Kropce stanowisko zastępcy sekretarza w sekcji pomidorów z tym, że jak mu to dobrze pójdzie, to po dwóch latach przejdzie do cebuli i wyżej. Marcin propozycję przyjął i przez dwa miesiące wchodził w pracę. Zaniepokoiłem się tylko, gdy nie przyszedł na umówione spotkanie. Rozpocząłem inwestygacje w Związku i dowiedziałem się z prawdziwym żalem, że Kropka do Związku nie przychodzi. Różnie mówiono. Niektórzy posuwali się do tego, że mówili o jego

kontaktach z psychologami, inni, że nawet był emisariuszem Liliputów. Postanowiłem zbadać sprawę dokładniej.

Któregoś week-endu pojechałem pod Epsom. Tak, najgorsze przypuszczenia były, niestety, prawdziwe. Przez siatkę ogrodzenia dostrzegłem Marcina Kropkę podwiązującego krzaki pomidorów. Śmiał się jak wariat, śpiewał i głaskał liście pomidorowych krzewów. Gdy jednak dostrzegł mnie, stojącego za siatką, chwycił grudę ziemi i biegnąc w moim kierunku krzyczał:

— Siostro, siostro — to bardzo niebezpieczny wariat! Musimy go złapać i obezwładnić.

W samą porę odskoczyłem za węgieł pobliskiego domu. W kancelarii zakładu dowiedziałem się, że Marcin zwariował na tle uprawy ziemi. Poza tym był zupełnie normalny.

Wypadek ten dał mi dużo do myślenia. Jak bardzo słaby jest człowiek poddany przez wiele lat nienormalnym warunkom życia. Nerwy nie wytrzymują. Trudno — słabi odpadają. Życie emigracyjne wymaga ludzi zdrowych. Odwagi na miarę Guliwera, rozsądku na miarę Jonatana Swifta.

Nie spałem tej nocy. Myślałem o biednym Marcinie. W dodatku zepsuła mi się **hot-water-bottle** i było mi zimno w nogi.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

ŚWIADECTWO EKONOMISTY

Recenzowaliśmy na tych łamach wspomnienia z zesłania do Rosji Wacława Grubińskiego („Między młotem a sierpem") i Anatola Krakowieckiego („Książka o Kołymie"). Obecnie przybywa nowa pozycja wydawnicza, również w postaci wspomnień, ale jeszcze o innym charakterze, a mianowicie Stanisława Skrzypka „Rosja, jaką widziałem". Pierwsza z tych książek była dziełem dramaturga i nowelisty i czytało się ją jak powieść. Druga była dziełem dziennikarza i stanowiła jakby przejmujący reportaż. Ta trzecia jest dziełem ekonomisty i statystyka i na kanwie przeżyć osobistych podaje notatki i obserwacje dotyczące życia politycznego, społecznego i gospodarczego.

Gabinetem ekonomisty jest tutaj najpierw cała więzienna a potem sala szpitalna. Do więzienia i do szpitala przychodzą w Sowietach ludzie ze wszystkich sfer, wszystkich środowisk i okolic. Każdy rzuca jakieś zdanie ilustrujące życie społeczne i panujące poglądy, każdy wspomni coś ze swoich losów, charakterystycznych dla pewnego środowiska. Autor zapamiętuje te rozmowy, zbiera po wyjściu na wolność listy, w okresie swej późniejszej pracy w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie przeprowadza setki rozmów informacyjnych z Polakami przybywającymi z różnych stron „ojczyzny proletariatu". Daje mu to wcale obfity materiał, pozwalający nawet czasami na śmiałe syntezy.

W przeciwieństwie do dwóch omawianych książek, w tej losy autora nie są rewelacyjne a zblazowanej bezmiarem wiadomości o okrucieństwie ludzkim publiczności mogą nawet wydać się banalne: więzienie Zamarstynowskie, Łubianka, Butyrki, szpital w łagrze, szpital w drodze do wojska, ambasada kujbyszewska; miał chłop szczęście — westchnie niejeden były łagiernik. Szczęście czy nieszczęście, ale dobre pole obserwacyjne dla uważnego i naukowo przygotowanego umysłu. Przy tym autor pisze bez żadnych ozdób, szczerze, bezpośrednio i zwięźle.

Ograniczmy się do paru obserwacji dra Skrzypka. W sprawie narodowościowej stwierdza on, że dane sowieckie fałszywe są nie tylko przez to, że np. ukrywają istnienie jakiejś grupy narodowościowej. Daleko poważniejszy jest fałsz odwrotny, polegający na tym, że zaliczenie do jakiejś narodowości opiera się w Sowietach nie na oświadczeniu zainteresowanego, jego świadomości narodowej czy języku codziennym, ale na jego pochodzeniu. Raz zapisane określenie narodowości wędruje za człowiekiem przez całe życie i często nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Autor spotykał wielu ludzi zapisanych jako Polacy, urodzonych i wychowanych w Rosji, nic już wspólnego nie mających z polskością, nawet nie mówiących po polsku. Spotykał typowych Moskali figurujących wciąż jako Ukraińcy, Niemców paszportowych, w rzeczywistości zupełnie zruszczonych. Rozwadnia to oczywiście samo pojęcie narodowości i daje władzy sowieckiej zapas ludzi formalnie należących do różnych narodów a w rzeczywistości będących Rosjanami. Z takich rekrutują się polscy „popi", z Rokossowskim na czele. Również i Żydów paszportowych, jak stwierdza p. Skrzypek, jest bardzo wielu. Przebywał on z takimi Rosjanami mającymi w papierach wypisaną narodowość żydowską i twierdzi, że ich zachowanie było absolutnie rosyjskie bez śladu żydowskiej odrębności. Dziwny jest ten kontrast klimatu psychicznego między Polską a Rosją. W Polsce wszyscy: Niemcy, Żydzi, Ukraińcy stawali się nacjonalistami, uwypuklały się, krzepły różnice narodowe. W Rosji wszystko roztapia się „w rosyjskim morzu". Skrzypek powołuje się na rozmowę między oficerem NKWD a polskim więźniem, w której enkawudzista powiedział: „My mamy Ukrainę bez Ukraińców a wy Ukraińców bez Ukrainy". Autor na podstawie rozmów ze współwięźniami ocenia, że Ukraińców z jaką taką świadomością narodową jest w Sowietach wszystkiego z piętnaście milionów. Wyniki polityki narodowościowej bolszewików wydają mu się imponujące i groźne, groźne także dla Polski. Natomiast komuniści niemieccy, których spotykał w więzieniu okazywali się w rozmowach nieodmiennie wściekłymi nacjonalistami niemieckimi, wcale nie wolnymi od uznania dla Hitlera. Podobnie uderzył go gorący patriotyzm Hiszpanów.

Wszyscy ci komuniści zagraniczni przybyli do Sowietów z entuzjazmem i wszyscy powędrowali za kraty. Niektórzy z nich, np. inżynierowie niemieccy byli na dzień wywożeni z więzienia do fabryk, gdzie pełnili odpowiedzialne funkcje techniczne.

Nie miejsce tu na omawianie spostrzeżeń autora o systemie kołchozów, organizacji przemysłu czy komunikacji w Sowietach. Zwróćmy jednak uwagę na jego ocenę psychiki człowieka sowieckiego. „Więzienia i obozy pracy są szkołą lojalności wobec reżymu sowieckiego. Zakrawa to na ironię, ale to rzeczywista prawda" — pisze autor nie bez zdumienia i podpiera swoje przekonanie szeregiem przykładów. Przyczynę widzi w odrębnych dziejach człowieka wschodniego, od wieków wychowywanego w niewolnictwie. Dr Skrzypek oblicza, że jeżeli nie co trzeci, to przynajmniej co piąty dorosły mężczyzna w Sowietach jest niewolnikiem w obozie pracy. Twierdzi on natomiast, że religia bynajmniej nie jest w Rosji rzeczą wymarłą. Gdyby naprawdę przywrócono wolność wyznań ogromna większość ludności, i to nawet młodszego pokolenia wypełniłaby cerkwie.

A oto zetknięcie się dwóch wzajem dla siebie niezrozumiałych światów. „Przestępstwo" Skrzypka stało w pewnym związku ze sprawą prof. Głąbińskiego i w śledztwie okazano mu zeznania podpisane przez tego wybitnego uczonego i niegdyś ministra monarchii austro-węgierskiej a później także wicepremiera polskiego, zawierające nieprawdopodobne potępienie całego jego życia w słowach i terminach, których by profesor nigdy nie mógł użyć, ani nawet znać. W szereg miesięcy później autor przypadkiem spotkał w więzieniu szpitalnym dziewięćdziesięcioletniego polityka i ekonomistę i zapytał go o owe zeznania. Profesor był traktowany w więzieniu brutalnie, terroryzowany i szykanowany. Mimo to zeznawał z całą godnością i tylko prawdę. Był wstrząśnięty opisem swoich rzekomych zeznań. Profesor słabo już widział i nie czytał pisanego rosyjskiego. „Sądziłem — mówił — że miałem do czynienia z oficerami i skoro zapewnili mnie słowem honoru, że protokół jest zgodny z tym, co zeznałem, podpisałem go."

Pragnę zakończyć te uwagi o nowej książce S. Skrzypka fragmentem jego wspomnień. Po podpisaniu paktu Stalin-Sikorski autor rozmawiał z współwięźniami Polakami, mającymi już informacje i komentarze prasy sowieckiej. „Słyszałem opinie niektórych, prostych nawet ludzi, że skoro ceną naszej wolności miałoby być wyrzeczenie się Wschodniej Polski, to nie warto było tego układu zawierać. Pisarz gminny z Nieświeża, G., odwiedzając mnie w szpitalu powiedział, że życie wynędzniałych w obozach Polaków nie warte jest takiej ceny. „Dużo jest bab w Polsce, które urodzą lepszych niż my" — zakończył melancholijnie swe uwagi."

W. W.

SPRAWOZDANIE OFICERA

Richard Hilton. Military Attache in Moscow. Hollis & Carter. London 1949. Str. 232.

Generał Hilton był attache wojskowym przy ambasadzie brytyjskiej w Moskwie w latach 1947 — 48. Jak pisze w przedmowie, jechał tam w nastroju przyjaznym dla Rosji, sprzymierzeńca Anglii z czasów wojny. Zetknięcie się jednak z rzeczywistością sowiecką, doświadczenia osobiste i obserwacja życia codziennego, a zwłaszcza dziwnych i dla umysłowości zachodniej niezrozumiałych praktyk władz sowieckich, spowodowały radykalną zmianę w poglądach autora.

Należy sobie zdać sprawę, że Hilton nie jest pisarzem politycznym, lecz żołnierzem. Nie znajdziemy więc w książce subtelnych rozważań ani głębokiej erudycji, natomiast znajdziemy wiele bystrego zmysłu obserwacyjnego i zdrowego rozsądku. Nic więc dziwnego, że książka spotkała się z krytycznym przyjęciem w niektórych kołach zawodowych „znawców" problemu sowieckiego, którzy w Moskwie (bo nie można powiedzieć w Rosji) spędzili znacznie więcej czasu, niż Hilton, i zdołali nasiąknąć tamtejszą atmosferą i mentalnością.

Książka Hiltona oczywiście nie jest rewelacją. Nie jest to jakieś głębokie studium życia rosyjskiego. Obrazuje ona raczej tylko pewien wycinek rzeczywistości rosyjskiej i efekt, jaki wywołuje zetknięcie się umysłowości zachodniej z praktykami narzuconego Rosji, choć w znacznej mierze zgodnego z tradycjami rosyjskimi systemu sowieckiego. Autor w pewnym miejscu pisząc o cechach umysłowości sowieckiej określa ją słusznie jako amalgamat komunizmu z charakterem narodowym. Skoro już jesteśmy przy tym temacie, wspomnijmy, iż z charakterystyczną bezpośredniością — zestawia niejako pięć grzechów głównych tej mentalności sowieckiej. Są nimi: 1) podejrzliwość, 2) ignorancja, 3) upór, 4) kompleks potakiwania (the yes-man complex), 5) nieprawdopodobna zarozumiałość.

Ale silną stroną książki Hiltona nie są jakieś abstrakcyjne rozważania, lecz obserwacja życia codziennego, której — wbrew licznym i nieprzejednanym przeszkodom, stawianym przez organy policyjne sowieckie — Hilton oddawał się z zapałem i wytrwale.

Ten rzekomy nowy, wspaniały świat komunizmu integralnego ujawnił się Hiltonowi jako ponure więzienie, z którego wygnano radość i zadowolenie. Ludzie dorośli, nawet młodzież, nie śmieją się. Śmieją się tylko małe dzieci, którym ucisk systemu nie dał się jeszcze odczuć. Zgodnie z wzorami potiomkinowskimi Moskwa ma dwa oblicza: dzielnica Kremla i kilka głównych ulic, dobrze zabudowanych i starannie utrzymanych na poziomie zachodnio europejskim; wszystkie boczne ulice i peryferie miasta jednak toną w nieprawdopodobnym brudzie, niechlujstwie i zaniedbaniu.

Gwałtowne i pośpieszne uprzemysłowienie kraju idzie w parze z prawdziwie wschodnim lekceważeniem potrzeb ludności. Straszliwie przepełnione domy mieszkalne, brak dostatecznej komunikacji i innych, nawet elementarnych urządzeń miejskich, fatalny stan ulic, często nawet niebrukowanych, rozbicie życia rodzinnego, gdyż nie tylko ojcowie ale i matki muszą pracować w fabrykach, by się utrzymać przy życiu — wszystko to składa się na to, co autor określa jako „foul social conditions".

Znaczna część książki wypełniona jest opisem metod inwigilacyjnych stosowanych przez władze bezpieczeństwa (M. W. D.) wobec cudzoziemców oraz wobec obywateli sowieckich, którzy mają sposobność stykania się z cudzoziemcami.

Pomijając inne uwagi Hiltona, jak np. o charakterze antychrześcijańskim komunizmu, zakończymy tę recenzję jego konkluzją, że „Zachód nie uniknie wojny przez dojutrkowanie (by marking time). Istnieje wszelka nadzieja uniknięcia jej przez zajęce stanowczej podstawy, o ile oczywiście nie zrobi się tego zbyt późno".

(m. ost.)

UWAGA, SOKOLI!

Przewodnictwo Z.T.G. Sokół na emigracji wzywa wszystkich Sokołów do bezzwłocznego nadesłania swoich adresów na ręce prezesa Związku dha Arciszewskiego, 20, Cathcart Road, London. S.W.10.

HENRYK MIRZWIŃSKI

PROLOG

Tędy szedł ogień i zostawił popiół.

Trzeba mi górnych skrzydeł sokoła
i horyzontu orlich oczu,
bym nad zgliszczami epoki
podniebne koła
zatoczył
i słowem — pięścią
popiół
wskrzesił.

Mądrości mi trzeba ksiąg proroczych
i roztropności jońskich kolumn,
bym każdym włóknem
żar ognia odczuł,
przebolał
i słowem — gwiazdą
drogę
nazwał.

Jam tylko iskierką, co pożar zostawił.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ZJAZD AKCJI KATOLICKIEJ

W dniach 11 i 12 ub. m. w świetlicy Kościoła Polskiego przy Devonia Rd. w Londynie odbyły się obrady Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, połączone z kursem dla przodowników Akcji.

Na zjazd przybyli delegaci kilkudziesięciu ośrodków pracy Akcji z całego terenu Wielkiej Brytanii

W ramach kursu dla przodowników wygłoszono i przedyskutowano dwa referaty: o człowieku współczesnym oraz o pracy Akcji w terenie.

W niedzielę po wspólnym nabożeństwie i komunii św. odbyły się obrady Rady.

Jako hasło pracy Instytutu w rozpoczynającym się roku przyjęto: „Kościół na straży godności człowieka". Uzasadnieniu i objaśnieniu tego hasła poświęcony był referat p. S. Grocholskiego.

Przyjęto następnie sprawozdanie ustępującego Zarządu. W roku ubiegłym Instytut pracował pod hasłem: „Chrystus króluje w polskiej rodzinie". Poza działalnością zewnętrzną, przejawiającą się w przedstawianiu potrzeb polskiego życia katolickiego w W. Brytanii władzom duchownym i świeckim polskim i angielskim, oraz zabieraniu głosu w prasie, Instytut skoncentrował swoją działalność na trzech akcjach, tj. przygotowaniu udziału Polaków w obchodzie Roku Świętego, wydawniczej i szkoleniowej. Komisja Roku Świętego zorganizowała plan pielgrzymek oraz opracowała dział polski na „Wystawie Czynu Katolickiego" w Rzymie. W ciągu roku wydano i rozprzedano ponad 60.000 egzemplarzy broszur i ulotek drukowanych, oraz rozesłano około 10.000 okólników, komunikatów i powielonych referatów. Uruchomiono sekcję prasową. Ponad 400 słuchaczy przeszło przez 7 kursów dla przodowników Akcji zorganizowanych w różnych miejscowościach. Prelegenci z centrali objeżdżali teren wygłaszając około 80 odczytów. Przeszło połowę budżetu rocznego wynoszącego około £. 1.000 pokryły dobrowolne ofiary i wpływy ze sprzedaży wydawnictw. Resztę stanowiła pomoc katolików angielskich i duszpasterstwa polskiego.

Nowowybrane Zarząd i Komisja rewizyjna ukonstytuowały się bezpośrednio po zjeździe. Przewodniczącym Instytutu pozostał p. Baliński Jundziłł, asystentem kościelnym jest ks. prałat Cieński, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej wybrano prof. A. Żółtowskiego.

Zjazd uchwalił wysłanie depeszy do Ojca Świętego.

KOMUNIZM A RELIGIA

6 ub. m. odbyło się zebranie dyskusyjne Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych w lokalu Klubu „Białego Orła" na temat „Komunizm wobec religii"

Przewodniczył J. Kwapiński, zagaił dyskusję p. Z. Stahl, przedstawiając stanowisko komunizmu wobec religii, tak jak ono jest sformułowane w teorii bolszewizmu i jak wyraziło się w praktyce politycznego działania komunistycznej partii, odkąd ujęła władzę w Moskwie.

W dyskusji zabrali głos prof. A. Żółtowski, dr S. Skrzypek, T. Dzieduszycki, A. Pająk, dr. J. Załęski.

Reasumując dyskusję prez. Kwapiński stwierdził, że w gruncie rzeczy tylko brutalna siła imperializmu sowieckiego umie zdobywać dla komunizmu władzę.

•

POLSKIE STOWARZYSZENIE b. SOWIECKICH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH zawiadamia wszystkich swoich członków, że w sobotę 4 bm. o godz. 15 odbędzie się zwyczajny Walny Zjazd Stowarzyszenia w sali Denison House, 296, Vauxhall Bridge Road, London, S.W. 1. (koło stacji Victoria) z następującym porządkiem obrad: 1) przyjęcie protokółu zebrania założycieli, 2) sprawozdanie władz i absolutorium, 3) wybory nowych władz, 4) wolne wnioski.

PLAN PRACY TPP

W dniu 31 grudnia ub. r. Rada Towarzystwa Pomocy Polakom w Londynie uchwaliła budżet Towarzystwa na r. 1950, zamykający się ogólną sumą £. 176.000 (w r. 1949 £. 29.000), na działalność poza Wielką Brytanią, w tym także pomoc Polsce — £. 99.000 (w r. 1949 £. 46.000). Pomimo znacznego rozszerzenia działalności i zwiększenia wydatków na cele opieki, wydatki administracyjne centrali ponownie poważnie obniżono, w tym wydatki personalne o 30%.

W ramach tego budżetu Zarząd TPP planuje na terenie Wielkiej Brytanii m. in. rozszerzenie opieki nad chorymi we współpracy z innymi organizacjami, oraz akcji prowadzonej za pośrednictwem Domów Polskich w większych ośrodkach miejskich i za pośrednictwem Placówek w Polskich Osiedlach Mieszkaniowych. W szczególności prócz już istniejących sześciu domów (Domy Polskie w Leek, Manchester, Plymouth, Edinburgh, Birmingham i Dom Noclegowy w Londynie) projektowane jest założenie jeszcze trzech nowych domów w Nottingham, Derby i domu dla samotnych kobiet z dziećmi. Niezależnie od tego przewidziane jest uruchomienie dalszych placówek w osiedlach mieszkaniowych. Ponadto w Londynie zamiarem Zarządu jest rozszerzenie i lepsze techniczne wyposażenie Przychodni Lekarsko-Dentystycznej; przewiduje się uzupełnienie i zaktualizowanie księgozbioru wypożyczalni książek TPP. Poza Wielką Brytanią dążeniem Zarządu jest utrzymanie dotychczasowej sieci Delegatur TPP, działających w 25 krajach i kontynuowanie ich działalności przy możliwie największym ograniczeniu wydatków administracyjnych. Główny nacisk położony będzie na pomoc Polakom w Europie zachodniej (Niemcy, Belgia, Francja). Dzięki wysiłkom przedsięwziętym w drugiej połowie r. 1949, delegatury te wzmocniły swoją pozycję w terenie. Z krajów zamorskich, niezniszczonych wojną, przewidywana jest pomoc do Europy zachodniej i do Polski. Jednym z głównych elementów opieki poza pomocą materialną i lekarską będzie udzielanie porad i informacji Polakom przebywającym na terenie działalności delegatur, które bardzo często są jedynymi polskimi placówkami.

Jeśli chodzi o pomoc Polsce, to podobnie jak i w latach ubiegłych planuje się wysyłanie transportów do dyspozycji zakładów wychowawczych, sierocińców itp. oraz bezpłatnych paczek indywidualnych z Londynu i z delegatur TPP.

ROCZNICA OBJĘCIA WYBRZEŻA

W dniu 10 ub. m. przypadła trzydziesta rocznica odzyskania przez Polskę dostępu do morza i symbolicznego wrzucenia w fale Bałtyku przez gen. Józefa Hallera pierścienia.

W dniu tym gen. Haller na czele grupy, w składzie 1 Batalion Morski i 1 Pułk Ułanów Krechowieckich, dotarł do Pucka i tam dokonał symbolicznego aktu zaślubin Polski z morzem. Tego samego dnia odbyło się w Warszawie uroczyste posiedzenie Sejmu Ustawodawczego, który uchwalił ustawę o budowie portu morskiego na polskiej ziemi.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

JESZCZE O KRYZYSIE KAPITALIZMU

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Donimirskiego polemizujący z moim artykułem „Kryzys cywilizacji kapitalizmu," wnosi ciekawe zobrazowanie tego zagadnienia od strony „amerykańskiej," w dużym stopniu jednak wydaje mi się niezrozumieniem myśli, które chciałem w nim przedstawić. W związku z tym pragnę wyjaśnić moje zasadnicze założenia.

1. W artykule swoim przeprowadzam wyraźne rozróżnienie pomiędzy kapitalizmem w jego orginalnej postaci, zdefiniowanej przez klasyczną szkołę ekonomistów, a jego formą współczesną. Kryzys, o którym piszę odnosi się wyłącznie do pierwszego z tych systemów, a nie do drugiego, o którym zdaje się myśleć p. Donimirski. Fakt opanowania amerykańskiego życia gospodarczego przez duże jednostki przemysłowe (w rodzaju „U. S. Steel Company" albo „American Telegraph and Telephone Company") jest dziś trudny do zaprzeczenia, co potwierdza moje założenie, że **„kapi-**

talizm jako system wolnej konkurencji, należy już do przeszłości".

2. P. Donimirski pisze, że kapitalizm w Ameryce nie ma związku historycznego z feudalizmem europejskim. Aczkolwiek uwagi moje na ten temat były raczej ogólne, a nie odnoszące się szczególnie do stosunków amerykańskich, znajdują one również zastosowanie i w tym wypadku. Oczywiste jest, że nie ma tu mowy o bezpośredniej zależności. Z drugiej strony współczesna gospodarka amerykańska nie jest wytworem całkowicie samorodnym. Na powstanie jej wpłynęły różne czynniki, dominujący był jednak importowany z Europy w wiekach XVII i XVIII, rozwinięty już tam system ekonomiczny (warto wspomnieć tylko jak bardzo była podobna struktura rolnictwa amerykańskiego w owym czasie do tej, która istniała wtedy w Wielkiej Brytanii). Miejscowe warunki sprawiły, że dalszy rozwój gospodarczy USA odbiegł nieco od postępu wypadków w Europie — różnice te jednak nie są zasadnicze. Przeniesienie się na zupełnie nowy, zacofany kontynent cywilizacji europejskiej z większością jej tradycji zarówno gospodarczych jak i kulturalnych sprawiło, że feudalizm, tak mocno z tą cywilizacją związany, odbił się również pośrednio i na kapitalizmie amerykańskim.

3. Opis warunków w jakich żyją w Ameryce bezrobotni wskazuje na fakt, że życie ekonomiczne w tym kraju nie jest bynajmniej ustabilizowane. Wątpliwe jest, aby tego rodzaju niezdrowe stosunki mogły istnieć na dłuższy okres czasu - prędzej czy później musi nastąpić reakcja. Już dziś coraz silniej odzywają się głosy, że stosunkowo łatwy zysk nie jest jedynym celem gospodarki i ludzi zmęczeni nieustanną walką o utrzymanie się na powierzchni życia — którego standart jest bardzo wysoki — zwracają się ku zapewnieniu sobie pewnego minimalnego bezpieczeństwa pracy i zarobku (jako przykład może służyć tu wysuwana obecnie kwestia ubezpieczeń społecznych). Walka współczesnego kapitalizmu z komunizmem, nie oznacza wcale, że jest on ustrojem zbliżonym do ideału sprawiedliwości społecznej, ani też pozbawionym wewnętrznych sprzeczności.

4. Zdaję sobie sprawę, że artykuł mój nie wyczerpuje bynajmniej poruszonego zagadnienia, przeciwnie łączy się z szeregiem innych problemów, które wymagają szerszego omówienia. Nie jest on jednak sam w sobie całością, lecz częścią szerszego opracowania, w którym poruszam osobno kwestie: związku pomiędzy cywilizacją europejską a amerykańską, oraz sprzeczności w teorii i praktyce socjalizmu prowadzące kierunek ten również do poważnego kryzysu.

Pomimo wszelkich różnic i niedomówień, wydaje mi się, że list p. Donimirskiego potwierdza moją zasadniczą tezę o poważnych zmianach zachodzących w obecnym systemie ekonomicznym świata cywilizowanego. Trudno jest dziś przewidzieć jak ułoży się dalszy ich rozwój, mało prawdopodobne jest jednak, aby zarówno kapitalizm, jak i socjalizm w ich oryginalnej, teoretycznej postaci stanowiły podstawę przyszłej struktury gospodarczej.

Łączę wyrazy szacunku

ADAM BROMKE

DROGA DO AUSTRALII

Od jednego z naszych kolegów, który wyjechał do Australii na stały pobyt, otrzymaliśmy poniższe ciekawe uwagi z podróży.

Pierwszy etap podróży, Wielka Brytania — Włochy, jest zbyt krótki, by się nim zajmować, jedna tylko rada: uważajcie we Włoszech bo ze skóry obedrą. Przechodzę teraz wprost do głównego tematu — podróży statkiem. Tu na chwilę muszę wrócić do Londynu, do Polish Resettlement Office. Zamawiając miejsce na statku należy żądać zarezerwowania kabiny zewnętrznej i na tyle statku. Nie wiem dlaczego pasażerowie wykupujący bilety za pośrednictwem i za pomocą P. R. O. dostają najgorsze kabiny. Wszystkie informacje, odnośnie podróży statkiem, udzielane przez urzędników P. R. O. w Londynie były albo niepewne albo niedokładne (odpowiedzialny urzędnik nie wiedział nawet, czy trzeba mieć koniecznie świadectwo szczepienia ospy czy nie — mieć trzeba, żąda tego linia okrętowa, nie rząd australijski).

Teraz co zabierać. Nie wchodzę tu oczywiście w szczegóły bagażu ogólnego (ale i tu jedna rada: brać jak najwięcej z sobą do kabiny, bo za rzeczy oddane do przechowalni bagażu płaci się dolara za każde 10 kg ponad 100 kg), chodzi mi tu o rzeczy podręczne i ubranie. I tu radzę nic specjalnie nie kupować na drogę w Anglii. Wziąć jakieś lekkie ubranie na siebie i właściwie wystarczy aż do Port Saidu. W Port Saidzie należy rozpocząć tropikalne zakupy. Jest tu wszystko bajecznie tanie, choć nie tak tanie jak w Adenie. Przy tym radzę nie kupować z łódek, które dziesiątkami oblegają statek, lecz w sklepach, choć i tam należy pamiętać, że to nie Londyn i targować się trzeba i płacić około 70 procent żądanej ceny. I nie kupować zbyt dużo — jakieś shorty, koszulę czy dwie, jakieś sandały — to wystarczyło na 6 dni, a reszta w Adenie gdzie ceny są jeszcze niższe a jakość towarów czy nie lepsza: Specjalnie dla palaczy serdeczna rada: zaopatrujcie się w papierosy na resztę podróży w Adenie (do Australii można bez cła wwieźć 100 papierosów) — na statku 50 angielskich eksportowych papierosów kosztuje 3/4 — w Adenie 2/6. Teraz kwestia płacenia na statku i w portach. Najlepiej w angielskiej walucie. Na statku można wymienić czeki podróżne na liry lub na funty.

T. N.

Na marginesie

REFORMATOR RELIGIJNY

Od czasu kiedy p. Kuncewicz, jeden z wiceprezesów tzw. Rady Narodowej, powrócił z Rzymu, gdzie był m. in. przyjęty na audiencji przez Papieża, reklama usiłuje przedstawić go jako znakomitego katolika, za którego pośrednictwem błogosławieństwo Ojca Świętego spłynęło na Radę Narodową. Wobec tego warto przypomnieć, że p. Kuncewicz jest autorem dwóch książek, z których pierwsza „Republika globu" wydana była przed wojną, druga zaś „O pełne wyzwolenie człowieka" po wojnie. W tej drugiej, zasadniczo poświęconej rozwlekłym a niegłębokim wywodom politycznym i społecznym, zatrąca on również o zagadnienia religijne. M. in. na str. 39 tego dzieła czytamy:

„Jeśli światopogląd religijny odpowiada części rzeczywistości, a tak jest (jeśli nie obiektywnie to subiektywnie), dla ogromnej masy ludzi wpływ jego na normy współżycia musi być ogromny... Tu ani słowa na temat form organizacyjnych wierzeń religijnych. W tej dziedzinie niejeden ładunek dynamitu psychicznego powinien dokonać dzieła zniszczenia. Gdyby można było z oków automatyzmu wydobyć siły zmonopolizowane w Kościołach dużo bliżsi bylibyśmy sukcesu i w innych dziedzinach organizacji. Wyzwolenie z oków automatyzmu musiałoby zaktywizować potężne siły ducha tych mas, które biernie drzemią po licznych świątyniach".

Nie wiemy czy Papież rozmawiając z p. Kuncewiczem wiedział z jakim ładunkiem dynamitu psychicznego ma do czynienia, jak również nie wiemy czy p. Kuncewicz uznaje w Papieżu Namiestnika Chrystusowego (jeśli nie obiektywnie to subiektywnie).

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W.8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £1.16.0 lub 6 dol.